

Uniwersytet rozmawiania z ludźmi

– spotkanie z Agnieszką Pajączkowską



fol. Bogumila Maleszewska-Oksztol

W 2012 roku wyruszyła w podróż wzdłuż wschodniej granicy Polski. Odwiedzała przygraniczne wsie, fotografując ich mieszkańców i wsłuchując się w lokalne legendy i rodzinne opowieści. Jak jest Podlasie, widziane okiem „człowieka z zewnątrz”?

Dominik Sołowiej: Kupiła Pani starego volkswagena, spakowała sprzęt fotograficzny, drukarkę, papier, trochę ubrań i wyruszyła Pani w podróż m.in. po Podlasiu. Zawędrowała Pani też na zachód, po to, aby z perspektywy zachodu na to Podlasie i wschodnią Polskę spojrzeć. Efektem tej podróży jest książka *Wędrowny Zakład Fotograficzny*, nominowana

do tegorocznej edycji Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Najbanalniejsze pytanie, jakie ciśnie mi się na usta, to dlaczego wybrała Pani tę Polskę wschodnią, jako cel swoich fotograficznych podróży?

Agnieszka Pajączkowska: Realizację *Wędrownego Zakładu Fotograficznego* zaczęłam od Podlasia i tłumaczę się

z tego na wstępie – to dosyć zagmatwana i długa historia, w skrócie odpowiedź brzmi: bo nie znałam Podlasia, nie znałam tej części Polski.

Mówiąc Podlasie, zrobię też od razu przypis – dokonuję olbrzymiego uproszczenia. Umówmy się, że podczas tej rozmowy, mówiąc Podlasie, mówię o bardzo wąskim wycinku pogranicza polsko-litewskiego, polsko-białoruskiego, kawaleczku polsko-ukraińskiego.

Podlasie jest „obrośnięte” wyobrażeniem, na które składa się kilka powtarzanych stereotypów. Mówi się, że jest tu wielokulturowo, gościnnie, dziko, atrakcyjnie turystycznie, ale też biednie, konserwatywnie. Ja nie wiedziałam jak tu jest i chciałam tego doświadczyć, natomiast prowadzenie Wędrownego Zakładu Fotograficznego to jest projekt, odwołujący się do dawnej praktyki rzemieślników, którzy jeździli po wioskach i oferowali wykonanie zdjęcia portretowego za pieniądze osobom, które nie miały bieżącego dostępu do fotografii. Chcąc nawiązać do tej tradycji, w 2012 roku zadałam sobie pytanie: „Gdzie w tym kraju możliwe jest spotkanie osób, które będą potrzebować zdjęcia drukowanego na miejscu, portretowego, które byliby skłonni wymienić na coś równie cenne?”. Wyobrażenie Podlasia pasowało mi do odpowiedzi na to pytanie. Jest tu sporo miejsc oddalonych od dużych miast, w których można spotkać niemało starszych osób, bo wiek często wyklucza z dostępu do fotografii cyfrowej, ale wchodzi w grę też kwestia ekonomiczna, tzn. powinny to być osoby na tyle skromnie żyjące, że kwestia fotografii czy posiadania aparatu fotograficznego w ogóle nie jest dla nich priorytetowa. Splot tych kryteriów, w połączeniu z moim wyobrażeniem, wynikającym z braku doświadczeń, spowodował,

że pojechałam pod granicę polsko-białoruską.

Rzecz jasna nie zatrzymałam się w każdym domu, w każdej przygranicznej wiosce. Wybierałam ciekawe dla mnie miejsca czy sytuacje, ale pozostawało pytanie, czy jego mieszkaniac/mieszkancka, będzie chciał ze mną rozmawiać?

We wstępie do książki pisze Pani o etycznym wymiarze tego projektu, o tym, że czasami fotograf wpada w pewną pułapkę, tzn. jego zdjęcia mogą stygmatyzować bohaterów, tym bardziej, że jeździła Pani do regionów ubogich, rozmawiała ze starszymi ludźmi. Ci ludzie pytali Panią, czy te zdjęcia będą gdzieś prezentowane?

Owszem, pytali i to jest humorystyczny element tej historii. Kilukrotnie zdarzyło się, że osoba którą fotografowałam pytała: „A czy Pani będzie to zdjęcie gdzieś publikowała?”, odpowiadałam: „Nie, absolutnie. To zdjęcie jest tylko dla Pana/Pani. To jest pamiątka rodzinna”. W odpowiedzi słyszałam: „O, to szkoda”.

Fotografia sama w sobie jest neutralnym narzędziem, natomiast można ją wykorzystywać w różnych celach z różną intencją. Historia pokazuje, że fotografia bywała używana w sposób, który bardzo mocno budował, podkreślał, wyzyskiwał kwestie nierówności pomiędzy centrum a peryferiami. Mówi się o tym jako „kolonizującym spojrzeniu”, „egzotyzującym spojrzeniu”. Bardzo często fotografia była narzędziem w rękach ludzi, którzy zdecydowali się ruszyć w podróż w nieznaną i sfotografować tubylców np. opisać ich zwyczajami, opowiedzieć światu cywilizowanemu o odległych kulturach.

Tak wprzęgnięto fotografię w naukę, tak opisywano świat, ale żyjemy

w XXI wieku i mam poczucie, że my – którzy używamy fotografii – jesteśmy uprawnieni do tego, żeby to robić, natomiast z refleksją dotyczącą też wspólnotowości tego doświadczenia, jego partnerstwa, obustronnej dobrowolności i tego, czym jest wizerunek nie tylko w sensie prawnym.

W Polsce zostało to uregulowane na początku lat dziewięćdziesiątych, tzn. nie mamy prawa fotografować osób i używać ich wizerunku bez ich zgody. Robiąc zdjęcia mogę zrobić rzeczy, do których osoby fotografowane nie będą miały dostępu, nie byłyby w stanie tego zweryfikować, więc podjęłam decyzję, która czasami jest krytykowana, że nie będę pokazywała tych zdjęć. Dzięki temu mam czyste sumienie i pewność, że nie zostaną one wykorzystane np. wbrew woli sfotografowanych, że nie utrwala one wizerunku Podlasia jako regionu, w którym mieszkają starsze, ubogie osoby.

Zależało mi na tym, żeby odciąć się od myślenia o fotografii artystycznej, która ma nas np. zachwycić estetycznie, żeby odciąć się od fotografii dokumentalnej, co do której wciąż panuje przekonanie, że pokazuje jakąś prawdę o rzeczywistości, tymczasem ona pokazuje subiektywny punkt widzenia osoby fotografującej. Chciałam nawiązać do tej gałęzi historii fotografii, która przez długi czas, również przez badaczy i instytucje, była traktowana jako ta najmniej wartościowa, czyli do fotografii rzemieślniczej, rodzinnej, domowej. Zależało mi na tym, ponieważ tę historię najtrudniej jest udokumentować, najtrudniej jest też ją odtwarzać. Nie byłam na to gotowa, by przy okazji Wędrownego Zakładu Fotograficznego zbierać materiał o charakterze naukowym, to było doświadczenie osobiste.

W trakcie wędrówki pomagała Pani swoim bohaterom w codziennych obowiązkach, np. kopiąc ziemniaki, więc chwilami żyła Pani ich życiem. Jak się Pani udało wejść do domów obcych ludzi, przełamać barierę nieufności?

Nigdy bym nie powiedziała, że żyłam życiem swoich bohaterów. Ja do niego na chwilę zaglądałam. W książce są opowieści zebrane w trakcie mniej więcej pięciu miesięcznych wyjazdów, dlatego nie jest to projekt o charakterze badawczym, tylko – jak już wspominałam – rodzaj osobistego doświadczenia.

Po prostu wjeżdżałam po kolei do każdej wioski przygranicznej, szukając wzrokiem jakiejś osoby, żeby zatrzymać samochód, wysiąść, przedstawić się i wytłumaczyć co robię. Wachlarz reakcji na coś takiego był bardzo szeroki. Zdarzyło się, że takie spotkanie na drodze zakończyło się dwudniową wizytą w gospodarstwie, co jest z mojej perspektywy bezcenne. Muszę przy tym zaznaczyć, że to nie była norma, a raczej szczególna sytuacja.

Poza jednym wyjątkiem, nie byłam też goszczona w domach. Po to był mi potrzebny samochód kempingowy, żeby mogła być niezależna od kwestii związanych z noclegiem. Ten „dom na kółkach” dawał mi też poczucie, że mam swój teren i swoją przestrzeń, co było dla mnie bardzo ważne, bo jeżeli mówimy o zaufaniu, to ono jest wzajemne, tzn. potrzebowałam takiego poczucia, że jeżeli komuś ta moja obecność się „odwodzi”, to w każdej chwili mogę po prostu podziękować i pojechać dalej.

Pas przygraniczny rządzi się prawem, które mówi, że nie można sobie tak po prostu biwakować na dziko w lesie. Żeby zatrzymać samochód na noc w terenie, trzeba otrzymać zgodę właściciela tego

terenu, sołtys zgłasza ten fakt do straży granicznej, więc ja też potrzebowałam co wieczór, żeby ktoś mnie jednak poniekąd ugościł, żeby chociaż powiedział: „To pani stanie tu pod płotem”. To czasami wystarczyło.

Które z podlaskich miejscowości najbardziej zapadły Pani w serce lub umysł? Przyznam szczerze, że z wypiekami na twarzy szukałam w Pani książce nazw miejscowości, w których spędziłem dzieciństwo: Łosinian, Krynek, Kruszyńian... Pamiętam, jak dziadek opowiadał mi, że w Łosinianach żyło kiedyś 150–170 osób, a teraz mieszkają dwie.

To i tak nieźle, bo są wsie, w których nie mieszka już nikt i to uległo zmianie w trakcie prowadzenia tego projektu. W książce jest opowieść z 2012 roku, że w wsi w której mieszkało siedem osób. Kiedy wróciłam tam po trzech latach, wieś miała już tylko jednego mieszkańca, a teraz całorocznie nie mieszka tam już nikt. W innej np. było pięcioro mieszkańców i można było ich wszystkich sfotografować na jednej ławce. Potem wracałam i okazywało się, że po pewnym czasie dwie osoby z ławki nie żyją, a zdjęcie które zrobiłam było pierwszym i ostatnim wspólnym zdjęciem sąsiadów.

Celowo nie wskazuję w tej książce, o której wsi mowa, bo te historie mają też charakter historii osobistych, powierzonych mi w zaufaniu i mogę o nich opowiedzieć jedynie ogólnie. Byłam w Świsłoczanach, Mostowlanach, Jurowlanach, Dublanach – można bardzo łatwo sprawdzić, jakie wsie odwiedziłam, natomiast starałam się pisać tak, by nie można było poszczególnych historii przypisać łatwo do danego miejsca lub zidentyfikować konkretnej osoby. Jestem

natomiast przekonana, że ludzie stąd – z Podlasia – którzy znają opisywane przeze mnie tereny, są w stanie rozpoznać niektóre miejsca.

Rzeczywiście miejscowości, o których wspominałam są dla mnie szczególne – spędziłam tam wiele czasu. A co do okolic Krynek – wieś Rudaki, wspaniałe miejsce. I nie jest to związane z tym, że akurat w tej wsi dzieje się coś szczególnego. W każdym takim miejscu dzieje się coś szczególnego, pytanie brzmi: „Co wydarza się akurat w tej szczególnej konfiguracji miejsca, czasu i przestrzeni, w której akurat się znalazłam, spotkałam tę akurat osobę i z tego spotkania wyłoniły się kolejne historie?”

Opowieści z Podlasia jest w tej książce najwięcej. W końcu pojechałam na Dolny Śląsk, żeby uzupełnić historię – głównie nadbużańskie i wołyńskie, tzn. żeby poznać losy tych, którzy zostali przesiedleni, których nie spotkałam na wschodzie.

Jak z perspektywy Dolnego Śląska ludzie patrzają na Podlasie?

Odpowiadając na to pytanie od razu wyjaśnię, że w tej książce trudno jest znaleźć uogólnienia, analizy, interpretacje, wyciąganie wniosków. To jest zbiór pewnych sytuacji, dialogów, które miały miejsce w trakcie drogi. Na Dolnym Śląsku pan, któremu wytłumaczyłam, że prowadzę Wędrowny Zakład Fotograficzny, powiedział: „Proszę na wschód z tym jechać, tu wszystko mamy”, kilka wiosek dalej usłyszałam natomiast: „Bardzo proszę, bo Polska B, to jest tutaj”.

Ta książka nie stara się konstruować pewnej prawdy: o wschodzie czy o zachodzie, o wsi, pograniczu, fotografii, aczkolwiek lawiruje pomiędzy tymi tematami i ten zachód też był mi potrzebny, żeby zamknąć klamrą tę opowieść,



fot. Bogumiła Maleszewska-Ohsztol

ale zrodził się też po prostu z propozycji, żeby jechać na Dolny Śląsk.

Kluczyłam po tym Dolnym Śląsku szukając wsi, aż w końcu zauważyłam na mojej mapie, że niektóre ikony kościołów to są kościoły prawosławne albo grekokatolickie i postanowiłam, że to będzie mój szlak, mój sposób na znalezienie wschodu na zachodzie. Udało się, spotkałam osoby, które miały doświadczenie przesiedlenia czy powojennej migracji, m.in. Łemkowie i Ukraińcy, przesiedleni w wyniku akcji „Wisła” w 1947 roku.

W tej książce znajdziemy też cały kalejdoskop mieszkańców Podlasia. Mamy tu kobietę, która wychowuje samotnie kilkoro dzieci i energicznych mężczyzn, mamy antysemitów i ludzi, którzy wysadziliby w powietrze ten i dziesięć poprzednich rządów. Miała Pani

okazję się z nimi spotkać, bywało niebezpiecznie? Musiała się Pani salwować ucieczką?

Różnie bywało. W książce opisałam pojedyncze przypadki – i były to wszystkie tego typu historie, jakie zdarzyły się podczas mojej pracy – kiedy faktycznie było nieprzyjemnie. Nie są to historie związane jedynie z Podlasiem, one po prostu wynikają z bycia w drodze, bycia w podróży, bycia kobietą, która w różnych środowiskach, jest narażona na agresję, zaczepki ze strony mężczyzn m.in. pod wpływem alkoholu. Zdecydowałam się je opisać, bo są częścią tego doświadczenia, ale też żeby nie tworzyć cukierkowej wizji, tzw. van life, kiedy wsiada się do campera i jest się w trakcie nieustających wakacji, wszystko wygląda pięknie i można to wrzucić na Instagram.

Tu mamy zderzenie z rzeczywistością, która jest jaka jest, bo ma swoją hi-

storię, ekonomię, socjologię, ale znaczenie ma też płęć kulturowa tego projektu, to że jest on realizowany przez kobietę. To wspomniane poczucie bezpieczeństwa i wzajemnego zaufania było potrzebne nie tylko ze strony np. starszych, samotnie mieszkających kobiet, które zdecydowały się ze mną rozmawiać. Ja też byłam w tej podróży samotną kobietą, nie miałam przy sobie bodyguarda. To była sytuacja, która wymagała ode mnie zaufania i racjonalnego podejścia, tzn. jeżeli widzę, że atmosfera „gęstnieje”, to wsiadam w samochód, żegnám się i odjeżdżam, bo jestem tam tylko gościem, nikt mnie nie zapraszał.

Kiedy się poruszamy po wschodniej granicy województwa podlaskiego, to stacji paliw jest niewiele... Trzeba było znać pewne kody, sygnały, mieć wtyki, znajomości,



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

żeby ktoś z baka tej benzyny mógł trochę nalać?

To jest też taki temat anegdotyczny, ale w gruncie rzeczy dużo mówi o pewnej cesze tego pogranicza, jakim jest brak dostępu do infrastruktury. Dzięki temu mój wędrowny, obwoźny zakład fotograficzny wpasowywał się w pewne przyzwyczajenie mieszkańców do tego, że jakiś samochód przyjeżdża i może to być sklep spożywczy, skup grzybów, skup złomu.

W wioskach przygranicznych bardzo często nie ma sklepów, nie ma piekarni, przystanku autobusowego, nie mówiąc już o przychodni zdrowia czy szkole. Nie ma też stacji paliw, dlatego tankowałam na tzw. „metach”. Faktycznie trzeba zdać pewnego rodzaju egzamin z zaufania, żeby dowiedzieć się, gdzie taka „meta” jest. Oczywiście wszyscy okoliczni miesz-

kańcy to wiedzą, ale nie jest to wiedza, którą przekazuje się pierwszej lepszej osobie, ponieważ często jest to działalność nielegalna.

Mam wrażenie, że albo ma Pani genialną pamięć, albo miała Pani przy sobie włączony dyktafon – w tej książce jest mnóstwo szczegółów...

Projekt WZF [Wędrowny Zakład Fotograficzny – przyp. Red] był przeze mnie realizowany od 2012 roku, ale bez założenia, że ma to być projekt książkowy. Na początku prowadziłam bloga, stronę internetową, konto na Facebooku, Instagramie. Szukałam narzędzia do dzielenia się tymi historiami, pomyślałam, że to była książka, pojawił się podczas przedostatniego wyjazdu, natomiast moją potrzebą było po prostu to, żeby

każdego dnia, czasami podczas spotkań, robić notatki. Bardzo dużo notowałam, robiłam bardzo dużo zdjęć „dla siebie”, żeby pamiętać, czyli używałam fotografii w funkcji rejestracyjnej. Niektóre spotkania także nagrywałam. Pisanie tej książki było więc pracą z pamięcią własną i z własnym archiwum: notatkami, zdjęciami, przesłuchiwaniami nagrań. *Wędrowny Zakład Fotograficzny* jest książką o odtwarzaniu swojego doświadczenia i przekazywaniu dalej historii, które – co też istotne – opowiedane mi, przez pewne osoby napotkane po drodze, również oparte są wyłącznie na ich pamięci. Więc są często alternatywną prawdą historyczną, czasami są opowieściami, które nie są weryfikowalne w sensie faktograficznym, są rodzajem legendy rodzinnej, podawanej dalej. Czasami też są przesiąknię-

te emocjami i prawda historyczna jest obok tego, ale ważny jest ciężar związanych z tym uczuć. Nikt nie odtworzy z niej historii powojennych przesiedleń, jakkolwiek ta książka jest przesiąknięta tematem przesiedleń, bo przesiąknięte tą historią są biografie osób, z którymi rozmawiałam.

Razem z Aleksandrą Zbroją opublikowała Pani książkę *A co wyście myślały? Spotkania z kobietami z mazowieckich wsi*. Czy w trakcie wędrówki z Wędrownym Zakładem Fotograficznym porównywała Pani te spotkania podlaskie ze spotkaniami na Mazowszu?

Było dokładnie na odwrót. WZF to był uniwersytet rozmawiania z ludźmi, uniwersytet słuchania i doświadczenie,

które na różne sposoby przeniknęło moje życie zawodowe, bo to się działo w ramach wakacji. Jestem również kulturoznawczynią, animatorką kultury, kuratorką i doświadczenie WZF właściwie wpłynęło na wszystko, co robiłam w trakcie i później, w tym pomysł, żeby wraz z Olą Zbroją napisać książkę opartą na rozmowach z kobietami mieszkającymi na Mazowszu. Materiał do tej publikacji zbierałyśmy latem 2017 roku, czyli już po tym jak Wędrowny Zakład Fotograficzny został zamknięty.

Mazowsze – centralne województwo, blisko Warszawy, więc może się wydawać, że jeżeli gdzieś wieś ma się dobrze, to na Mazowszu właśnie. Okazało się, że to nie jest takie oczywiste. Rozmawiając z kobietami z tamtego regionu, miałam już umiejętność, w którą wy-

sażyły mnie wszystkie osoby, z którymi rozmawiałam wcześniej przy wschodniej granicy albo na Dolnym Śląsku. Ale na Mazowszu była to zupełnie inna praca, bo wszystkie nasze bohaterki od początku wiedziały, że rozmawiają z nami, ponieważ piszemy książkę, wiedziały, że ich głos będzie w książce.

Czy w najbliższym czasie będziemy mogli spotkać Agnieszkę Pajączkowską w sympatycznym volkswagenie na podlaskich drogach?

Nie. WZF jest projektem zamkniętym i książka jest jego podsumowaniem. Ta formuła się wyczerpała, teraz myślę raczej o tym, co dostałam z tych opowieści i jak to przekształcać na kolejne działania, kolejne projekty.

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA

–urodzona w 1986 roku–kulturoznawczyni, badaczka historii codziennych praktyk fotograficznych, twórczyni projektów interdyscyplinarnych, fotograficznych i kulturalnych, animatorka kultury, kuratorka, tutorka i coach, absolwentka studiów doktoranckich w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, autorka tekstów naukowych i reportaży.

W latach 2012–2016 prowadziła Wędrowny Zakład Fotograficzny (www.wedrownyzakladfotograficzny.pl). Interesuje ją rzemieślnicza i użytkowa historia fotografii i jej związki z praktykami codziennymi, archiwami i lokalną historią. W 2015 roku była stypendystką Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w obszarze „Sztuki wizualne”. W 2016 roku w ramach TIFF Fe-

stival we Wrocławiu prezentowana była jej autorska wystawa *Wędrowny Zakład Fotograficzny* na Dolnym Śląsku. Laureatka konkursu „Kulturysta Roku 2016” – nagrody przyznawanej przez Radiowy Dom Kultury, audycję w Trójce. W 2017 roku była członkinią rady programowej TIFF Festival – edycji odbywającej się pod hasłem „Zasoby”. Od 2018 wchodzi w skład rady programowej Instytutu Fotografii Fort w Warszawie.

Autorka książki *Wędrowny Zakład Fotograficzny* (2019), nominowanej do Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego za najlepszą książkę 2019 roku. Współautorka, wraz z Aleksandrą Zbroją, książki *A co wyście myślały? Spotkania z kobietami z mazowieckich wsi* (2019).

Rozmowa jest zapisem fragmentu spotkania autorskiego, zorganizowanego 8.02.2020 r. w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, w ramach IV edycji Festiwalu Literackiego „Autorzy i książki. Podlaskie podsumowanie”.

IV Festiwal Literacki „Autorzy i książki. Podlaskie podsumowanie” dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**